

RAWAGE

Porwany jako nastolatek został pozbawiony swojego imienia. Stał się numerem 194. Jest tylko jedna rzecz, która sprawia, że nie zamienił się jeszcze w potwora.

Poranione dusze #3

TILLIE COLE



Tytuł oryginału

Ravage

Copyright © 2016 by Tillie Cole

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Kinga Jaźwińska-Szczepaniak

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-605-9

TILLIE COLE

RAVAGE

PORANIONE DUSZE #3

TŁUMACZENIE

MATEUSZ GRZYWA

OŚWIĘCIM 2023

DEDYKACJA

Dla tych, którzy noszą w duszach nieco mroku.

PROLOG

*Władykaukaz
Republika Osetii Północnej – Alania
Rosja*

*Sierociniec
Piętnaście lat temu*

Ze snu wyrwały mnie trzy ostre stuknięcia w drzwi znajdujące się na dole. Zmrużyłem oczy i spojrzałem na zegar ścienny. Pozostali chłopcy w sali ani drgnęli, ale to wcale nie znaczyło, że spali. Wszyscy wiedzieliśmy, co zwiastuje ten ostry stukot – przyszły po zbiory.

Nocne Zjawy.

Gdy nerwową ciszę domu przerwał przeraźliwy pisk zawiasów głównych drzwi, moje ciało ściał lód. Później rozległ się odgłos butów – ciężkich buciorów bębniących o starą drewnianą podłogę.

Salę spowijała głęboka ciemność, jak zwykle o trzeciej nad ranem. Zjawy zawsze zjawiały się o tej porze. Wiedziałem, że to dlatego, aby mieszkańcy miasta nie słyszeli i nie widzieli, jak przychodzą po nas, sieroty.

Głębokie szepty jakby wypełniły każdy zakamarek sali. Właśnie tego sygnału potrzebowałem, by się ruszyć. Odgarnąłem cienki koc. Moje nagie stopy zderzyły się z lodowato zimnymi deskami podłogi. Zamarłem, nie chciałem wydać z siebie nawet najcichszego szmeru. Zacisnąwszy pięści, podreptałem cicho

ku klatce schodowej znajdującej się na tyłach budynku. Mijając równe rzędy wąskich leżanek, słyszałem stłumiony szloch i łkanie pozostałych chłopców. Leżeli sparaliżowani strachem. Moje nozdrza wypełnił smród moczu, najwyraźniej niektóre dzieci bały się tak bardzo, że od razu się zmoczyły.

Ale ja szedłem przed siebie. Musiałem dotrzeć *do niej*.

Moje serce galopowało, choć poruszałem się powoli. W końcu dotarłem do zamkniętych drzwi, oddzielających sale chłopców od pokojów dziewcząt. Wyciągnąłem cieniutką spinkę, którą trzymałem w sekretnej kieszonce spodni, i wsunąłem ją w zamek. Skupiałem się na wyczuciu go, równocześnie rozpaczliwie nasłuchując wszelkich odgłosów świadczących o tym, że *Noch Prizrak* – ludzie znani jako *Nocne Zjawy* – kierują się na to piętro. Na moim czole pojawiły się paciorki potu, ale koncentrowałem się na zadaniu. Moja dłoń poruszała się spokojnie i dokładnie. Zamek ustąpił, więc przekręciłem gałkę w drzwiach i cicho wypuściłem powietrze z płuc.

Zerknąłem na rozpościerający się za moimi plecami mrok, by upewnić się, że nikt za mną nie idzie. Czasami kilku chłopców panikowało i ruszało moim śladem. Ale nie mogli tego robić. Byłem w stanie ocalić jedynie nas dwoje. Reszta musiała zatroszczyć się sama o siebie w tym popierdolonym sierocińcu z piekła rodem. Sierocińcu będącym polem zbiorów dla przychodzących nocą Zjaw.

Czysto. Prześlizgnąłem się więc przez wąską szczelinę w drzwiach i natychmiast zamknąłem je za sobą, przekręcając zamek. Schowałem spinkę do sekretnej kieszonki i przemknąłem przez piętro w kierunku wąskich schodów. Zakradając się ostrożnie stopień po stopniu, dotarłem na kolejne piętro i zobaczyłem drzwi *jej* sali. Otworzyłem zamek i wsunąłem się do środka, a gdy tylko przekroczyłem próg sali dziewcząt, moje uszy uderzyła fala głośnego zawodzenia, od której krew się we mnie zagotowała, przewracając moje flaki na drugą stronę.

Dziewczynki były bardzo młode, a jedna z nich była moją siostrą, moją najlepszą przyjaciółką i jedynym powodem, dla którego żyłem na tym świecie.

Postawiłem czternaście ostrożnych kroków. W ciągu lat naszej niewoli dobrze zapamiętałem tę krótką trasę. Zapamiętywałem wszystko. Mój mózg niczego nie zapominał. Po czternastym kroku wysunąłem rękę i od razu poczułem drobne paluszki Inessy, mojej małej siostrzyczki. Jej dłoń zadrżała, zaciskając się na mojej z niewiarygodną siłą. Uśmiechnąłem się smutno i z trudem oparowałem łzy. Bez słowa podniosłem siostrę z łóżka i wziąłem w ramiona. Jej główka wtuliła się w zagłębienie między moją szyją a ramieniem, a jej wątle ramionka zacisnęły się wokół mojego karku z siłą imadła. Pozwoliłem sobie na sekundę zwłoki, by odwzajemnić ten uścisk, lecz gdy po korytarzach poniosło się echo otwieranych drzwi, zmusiłem się do działania.

Pobiegłem.

Pobiegłem ile sił w nogach.

A gdy biegłem, mroczną noc przesywały krzyki dobiegające z sal znajdujących się w głębi korytarza. Inessa oddychała coraz szybciej. Gdy dopadłem do drzwi pokoju, siostrzyczka zacisnęła swoje zziębnięte ręce jeszcze mocniej i wyszeptała: *Noch Prizrak*. Moje kolana niemal ugięły się pod siłą przerażenia słyszalnego w jej głosie, ale dzięki silnej woli wyszedłem na korytarz, a potem pognałem w kierunku schodów. Tym razem krzyki i wrzaski dochodziły ze strony naszej tajnej kryjówki.

Ogarnęła mnie trwoga i zalał czysty strach. Zachwiałem się. Próbowiałem wymyślić, co robić, dokąd pójść, lecz wtedy z sal chłopców dobiegły nas głośnie trzaski.

– Walentin? – załkała wtulona w moją szyję Inessa.

Cała drżała. Jej serce waliło tak mocno, że czułem jego pulsowanie na własnej piersi.

Zacisnąłem powieki, desperacko próbując wymyślić nową kryjówkę. Ciężkie kroki Zjaw przypominały grzmoty. Nie, go-

rzej – brzmiały niczym odgłosy kroków stawianych przez stado słońi biegnących na nas ze wszystkich stron i zamykających nas w potrzasku.

I wtedy mnie oświeciło. Pokój lekarski piętro wyżej!

W okamgnieniu ruszyłem do góry, przeskakując po dwa stopnie naraz. Inessa nawet nie pisnęła. Uda paliły mnie z wysiłku, ale dobiegłem pod stare drzwi z czerwonym krzyżem umieszczonym na małym przeszkleniu. Odgłosy buciorów przybierały na sile, rozlegały się coraz bliżej. Pociłem się. Serce łomotało mi w piersi. Improwizowałem. Gałka przekreśliła się w mojej dłoni, a do uszu dobiegło głośne kliknięcie – otwierały się też drzwi do sal chłopców.

Wpadłem do pokoju lekarskiego i zamknąłem drzwi. Do środka wlewało się światło księżycy, które padało na cztery małe łóżka. Nie było tam żadnych szaf, w których moglibyśmy się schować, żadnych ukrytych drzwi, żadnych kredensów, za które moglibyśmy wejść.

Pomieszczenie wypełniły donośne głosy. Ze świadomością, że Zjawy zmierzają w naszą stronę, podbiegłem do najbardziej oddalonego od drzwi łóżka i położyłem Inesę na podłodze. Trzymała mnie bardzo mocno, ale nie miałem czasu, by ją pocieszać. Musiałem nas uratować, więc padłem na kolana i wpełzłem pod łóżko. Inessa zrobiła to samo, zawsze posłusznie robiła wszystko, co jej mówiłem. Wbiłem się w narożnik pokoju, próbując być jak najmniejszy, a potem wziąłem siostrę w ramiona. Jej malutkie ciało natychmiast przylgnęło do mojej piersi. Znieruchomieliśmy.

Oddychaliśmy prawie niesłyszalnie. Inessa płakała cicho, a jej ciało ciągle się trzęsło. Trzymałem ją mocno, modląc się, żeby Zjawy tu nie przyszły, żeby i tej nocy nas nie zauważyły, żeby nie zapakowały nas na ciężarówkę i nie wywiozły Bóg wie gdzie. Położyłem dłoń na potylicy siostry, przyciągnąłem ją do siebie i zamknawszy oczy, pocałowałem ją w czarne włosy.

Otoczała nas cisza. Cisza tak gęsta, że nie śmiałem nawet odychać, by jej nie zakłócić. I wtedy przy drzwiach pokoju medycznego usłyszałem cichy zgrzyt, który wykrzesał z mojego kręgosłupa rozpalone do białości iskry. Inessa zakwiliła, więc przyłożyłem palec do jej ust, niemo błagając, by była cicho. Wpatrywałem cieni na podłodze i wtedy zobaczyłem, że drzwi się otwierają, a w środku pojawia się kilka par butów. Skręciło mnie w brzuchu.

Byli Gruzunami, rozmawiali niskimi głosami, ale nie rozumiałem wszystkich słów. Wciąż z całych sił otulałem ramionami Inesę, wpatrując się jak sokół w stąpające po całym pokoju buty. Nagle dwie pary nóg obróciły się gwałtownie i wymaszerowały na korytarz. Wpatrywałem się wytrzeszczonymi oczami w pozostałe dwie pary, które powoli, boleśnie powoli, zbliżyły się do łóżka będącego naszą kryjówką. Wstrzymałem oddech, gdy się zatrzymały. Bałem się tak bardzo, że nie wypuszczałem powietrza z płuc. Łzy napłynęły mi do oczu, bo wiedziałem, że to już koniec.

Zjawy nas znalazły.

A potem wszystko wydarzyło się bardzo szybko. W mgnieniu oka ktoś przewrócił łóżko, pod którym się schowaliśmy, i naciśnął przełącznik, a pokój zalał się oślepiającym białym światłem. Skrzywiłem się, a schowana w moich ramionach Inessa krzyknęła, bo i ją oślepiło. Mrugnąłem raz i drugi, aż zobaczyłem oblicza Zjaw – stał nad nami mężczyzna, wielki i mroczny, a obok niego kobieta, cała ubrana na czarno, jak wszystkie Zjawy, w jakby mundur wojskowy, a włosy miała związane w kok. Obserwowała nas zmrużonymi oczyma, którymi świdrowała przede wszystkim tył głowy mojej siostry. Próbowałem trzymać Inesę przy sobie, zakrywać jej twarz, ale ona, jakby wyczuwając spojrzenie kobiety, podniosła głowę i rozejrzała się. Widziałem, jak kobieta Zjawa rozciaga w uśmiechu wąskie wargi, patrzy na towarzy-

szącego jej mężczyzną i kiwa głową. Natychmiast zrozumiałem, co oznacza ten gest, więc zerwałem się na nogi z siostrą w ramionach i rzuciłem się biegiem najszybciej, jak potrafiłem, lecz gdy dotarłem do drzwi, pilnujący ich dwaj mężczyźni, którzy jednak wcale nie odeszli, złapali mnie za włosy.

I wtedy wielki mężczyzna Zjawa wyrwał mi Inesę z rąk. Krzyczała i wyciągała do mnie chude rączki.

Wypełnił mnie gorący gniew. Wyprowadziłem cios, którym trafiłem Zjawę w brzuch. I nie przestawałem. Uderzałem raz za razem, aż mnie puścił. Patrzyłem tylko na siostrę, którą wciągnęli z powrotem w głąb pokoju lekarskiego. Inessa wyglądała w rękach Zjawy jak martwy posąg, patrzyła przed siebie wytrzeszczonymi niebieskimi oczami. Gdy po jej policzku spłynęła łza, zmusiłem się do działania. Rzuciłem się więc za nią, ale wtedy poczułem przeszywający żołądek ból. Siła ciosu zmiotła mnie z nóg i wycisnęła powietrze z moich płuc. Ale i to mnie nie powstrzymało.

Dźwignąłem się na rękach, sunąc w jej stronę i zaciskając zęby z bólu. Nagle spadł na mnie drugi cios, tym razem w plecy. Padłem bezwładnie na zimną podłogę i poczułem miedziany posmak krwi, która pociekła z moich ust... Ale kolejne spojrzenie na Inesę wystarczyło, bym ponownie zmusił się do dalszego ruchu. Słyszałem niewyraźnie, półświadomie, jak Zjawy rozmawiały ściszonymi głosami, lecz gdy Inessa ponownie wyciągnęła ku mnie ręce, zdwoiłem wysiłki.

Pełzłem ku siostrze, niezmordowany. I kiedy już miałem dotknąć jej dłoni, ktoś podniósł mnie z ogromną siłą. Walczyłem i walczyłem, szarpałem się, ale trzymający mnie mężczyzna był zbyt silny, a moje ciało zbyt osłabione ciosami.

– Puszczaj – syknąłem w ojczystym rosyjskim. – Nie zabierze cię mi jej.

Pojawiła się przede mną ta kobieta. Wpatrywała się we mnie małymi ciemnymi oczami, a na jej ustach tańczył uśmiezek.

– Puszczaj! – warknąłem, patrząc na nią rozpalonym wzrokiem. Uśmieszek przeszedł w szeroki uśmiech.

Podszedł do niej mężczyzna – ten, który przewrócił łóżko i nas znalazł – i też wbił we mnie ciemne oczy, po czym skrzyżował potężne ramiona na torsie.

Kobieta cofnęła się bliżej Inessy, ale nie spuszczała ze mnie oczu. Ja też cały czas na nią patrzyłem. Kiedy moja siostra skurczyła się ze strachu, kobieta podniosła rękę, jakby chciała ją uderzyć.

Krzyknąłem ile sił w piersiach.

Zaryczałem.

Kopałem i młóciłem rękoma, żeby się uwolnić.

Kobieta opuściła rękę i wtedy dostrzegłem na jej twarzy coś jakby cień zrozumienia. Wróciła do mnie, postawiwszy cztery kroki – policzyłem – i uniosła dłoń do mojej twarzy.

– Zrobisz wszystko, żeby chronić tę tam? – zapytała po rosyjsku, ale każde słowo aż ociekało wyraźnym gruzińskim akcentem.

Zacisnąłem zęby, nie odpowiedziałem.

Zaśmiała się, a stojący obok niej mężczyzna przechylił głowę. Kobieta spojrzała na niego i powiedziała:

– Bierzemy oboje. Mała jest piękna, a takiego jak on jeszcze nie widziałam. Tak lojalnego i zacieklego.

Mężczyzna skinął głową, na co moją krew ponownie ściał lód.

Kiedy kobieta Zjawa znów uniosła dłoń i pstryknęła palcami, facet trzymający Inessę natychmiast wyszedł z pokoju. Ten, który trzymał mnie, także ruszył za nim. Nie odrywałem spojrzenia od siostry wtedy, gdy nieśli nas wzdłuż szeregu chłopców i dziewczynek, do furgonetki, i nawet wtedy, gdy kobieta Zjawa przysunęła usta do mojego ucha, po czym wyszeptała:

– Jeżeli chcesz, żeby żyła, nauczysz się wypełniać wszystkie nasze polecenia. Staniesz się jednym z nas. Staniesz się Nocną Zjawą, jak nas tu nazywają. Staniesz się niewidocznym zabój-

cą. Człowiekiem nocy. Moim drogocennym *ubijcą*¹, najlepszym zabójcą.

I rzeczywiście się nim stałem.

Z biegiem lat przeistoczyłem się w nocnego ducha.

W doręczyciela śmierci.

Niosłem cierpienie.

Niosłem ból.

Byłem pierdolonym koszmarem, którego nikt się nie spodziewał...

Dopóki nie było za późno.

¹ *Ubijca* – (z ros.) morderca, zabójca (przyj. red.).

ROZDZIAŁ 1

Zoya

Manhattan, Nowy Jork

Obecnie

– *Sykhaara*¹ – wymamrotałam wstrząśnięta, a w moim sercu pojawiła się szczelina nadziei, na którą nie pozwalałam sobie od dwudziestu lat, od tamtej masakry. Nadziei, że mój brat żyje. A jednak po tylu latach... *naprawdę żył*.

– Panienko? – wydukał Avto, mój obrońca i opiekun.

Zamieniłam się w słup soli, nogi zdrętwiały mi pod wpływem szoku.

Zaal, mój Zaal, żył.

Spojrzałam na niego jeszcze raz zamglonym wzrokiem.

– A Anri? Jakies wieści o Anrim?

Na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

– Nie, panienko. Ani słowa o Anrim. Ale nasze źródła donoszą, że Kostava przyjeżdża do miasta. Obserwowali go. Obserwowali i obserwowali, i...

– I co?! – wtrąciłam, wsłuchując się w jego każde słowo.

– I to Zaal, panienko.

Szloch rozerwał moje gardło. Zasłoniłam usta dłońmi i wyobraziłam sobie Zaala – jego wpatrzoną we mnie ośmioletnią twarz, gdy niósł mnie do domu z należącego do nas lasu, i jego

¹ *Sykhaara* (inaczej: *chemo sikharulo*) – (z gruz.) oznaczają: „ukochany”, „moje szczęście” (przyp. red.).

szeroki uśmiech, gdy patrzył na mnie i liczył trzy pieprzyki na swoim policzku: „Raz, dwa, trzy”. Przypomniałam sobie długie czarne włosy, które opadały mu na plecy, i jego tętniące życiem zielone oczy. Przypomniałam sobie Anriego, który szedł obok nas – miał dokładnie takie same włosy jak Zaal, ale jego oczy były ciemnobrązowe, jak moje.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu, wrywając mnie ze wspomnień.

– Wszystko dobrze, panienko? – Avto patrzył na mnie z troską.

– Tak... – szepnęłam, ale od razu pokręciłam głową. – Sama nie wiem. Po prostu... Trzymałam się nadziei i modliłam się, by przeżył, by obaj przeżyli, ale bez żadnych wieści minęło tyle lat, przez które straciłam tę nadzieję. To po prostu przytłaczające. – Ścisnęło mnie w brzuchu. – Avto, jesteś pewien? Bo chyba nie przeżyje, jeśli to jakaś pomyłka. Moje serce jest złamane od dwudziestu lat, nie zniesie więcej bólu.

Jego brązowe oczy złagodniały.

– Jesteśmy pewni, panienko.

– Ale czy on nadal się ukrywa? – zapytałam, marszcząc czoło.

– Kto go chronił przez cały ten czas? Jak rozpoznano jego tożsamość? Jest w niebezpieczeństwie?

Tym razem w spojrzeniu Avto pojawił się żal. Nerwowo, ale mocno złapałam starca za rękę.

– Avto, powiedz mi. Gdzie podziewał się mój *sykhaara*?

Mężczyzna nabrał powietrza i odrzekł:

– Panienko, Jakhua zabrał twoich braci i ich wykorzystał.

– Wykorzystał? Jak? Nie rozumiem. – Potrzebowałam odpowiedzi.

Avto napiął się i odparł:

– Panienko, na tym świecie są rzeczy, których istnienia nie jesteś świadoma. Są ludzie i miejsca istniejące jedynie w podziemiu. Jedynie w tajemnicy.

Ściągnęłam brwi.

– Avto, co próbujesz powiedzieć? Gdzie był mój Zaal? Co ten człowiek zrobił moim braciom? – zapytałam i od razu poczułam, jak Avto jeszcze mocniej napina mięśnie.

Zrobił głęboki wdech i wyjaśnił:

– Zoyu, Jakhuasowie opracowują narkotyki.

– Jakie narkotyki?

– Narkotyki zniewalające ludzi, panienko. Narkotyki usuwające wspomnienia ofiar, zmuszające je do popełniania koszmarnych, haniebnych czynów.

Ścisnęło mnie w dołku.

– Na przykład jakich? – zapytałam szeptem.

Avto aż się przygarbił.

– Zabójstw. Mordów. Wszystkiego, czego zażąda Pan. Naprawdę wszystkiego. Niezależnie od skutków moralnych.

Poczułam, że tym razem ścisza mi się gardło, ale udało mi się przełknąć ślinę.

– I Jakhua... – musiałam przełknąć ślinę jeszcze raz, bo głos mnie zawiódł – ...i Jakhua stosował je na moich braciach?

Avto skinął głową i lekko zbladł na twarzy.

– Powiedz – drążyłam.

– Panienko... – zaczął ochryple. – Panicze Zaal i Anri zostali nie tylko poddani działaniu tego narkotyku. On był na nich testowany.

Patrzyłam na niego nieruchoma, choć ręce mi drżały. Pomimo ściśniętego gardła udało mi się zapytać:

– On, Jakhua... wykorzystał moich braci... i testował na nich swój narkotyk? Eksperymentował na nich jak na laboratoryjnych szczurach?

– Tak, panienko – odpowiedział Avto, na co po moich policzkach spłynęły ciepłe łzy. – Byli bliźniakami, więc testował na nich narkotyk we wszystkich fazach jego rozwoju. Porównywał rezultaty...

Zerwałam się na nogi, podbiegłam do kosza na śmieci i zwymiotowałam.

Avto podszedł do mnie i w pocieszającym geście położył mi na plecach swoją starczą dłoń. Ale ja nie mogłam liczyć na pocieszenie, mając świadomość, że moim silnym, dzielnym i ukochanym braciom wstrzykiwali tę... tę truciznę, i to latami, całymi latami, aż stracili pamięć, wspomnienia...

Wytarłam usta, ciężko dysząc, i obróciłam ku opiekunowi twarz.

– Co z ich pamięcią? Pamięcią Zaal?

Przepełnił mnie strach, bo oto stanęłam oko w oko z możliwością, że brat nie będzie wiedział, kim jestem. To musiałby być najokrutniejszy z żartów Boga. Czekałam na powrót braci dwadzieścia lat, a mogło się okazać, że gdy odnalazłam jednego z nich, będącego teraz moją jedyną rodziną, on zobaczy we mnie obcą osobę.

– Słyszeliśmy, że jego wspomnienia wracają z każdym dniem i, Zoyu, sądzimy, że cię pamięta, ale...

– Ale co? – zapytałam niemal bezgłośnie.

– Panienko – zaczął i zbliżył się o krok – on myśli, że zginęłaś w masakrze. Nie ma pojęcia, że przeżyłaś. Nie wiedział, że nie odnaleziono twoich zwłok.

Na myśl, że Zaal pamiętał rodzinę, ale przez tyle lat pustki był przekonany, że wszyscy jej członkowie zginęli, opadła mi ciężko głowa.

– Jest sam? – zapytałam, wyobrażając sobie, przez co musiał przejść.

Avto nie odpowiedział. Gdy podniosłam głowę, zobaczyłam, że jego siedemdziesięcioletnie ciało jest aż sztywne z napięcia. Tym razem nie pytałam ponownie, po prostu czekałam.

– Nie jest sam – wyznał po wielu sekundach milczenia.

– Są przy nim opiekunowie, którzy go odnaleźli? Ludzie wierni naszej rodzinie?

Avto zaprzeczył ruchem głowy, a jego cienka jak pergamin skóra jeszcze bardziej zbladła.

Nachyliłam się i położyłam dłoń na jego ręce.

– Avto?

Ale on już nic nie dodał, tylko sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął zdjęcie. Gdy zobaczyłam pusty, biały tył fotografii, moje serce ruszyło sprintem.

Zaal.

Wiedziałam, że jest na tym zdjęciu. Wyciągnęłam rękę, ale Avto cofnął swoją. Zirytowana spojrzałam mu w oczy, a on odchrząknął i powiedział:

– Zoyu, Zaal nie jest sam. Dotarli do nas wieści, że niedawno się zaręczył.

Wstrząśnięta rozchyliłam wargi i pokręciłam głową.

– Zaręczył? Jak to możliwe? Myślałam, że Jakhua go więził, więc... Kiedy Zaal zdążył znaleźć sobie kobietę? Jak to możliwe? Nie rozumiem.

Avto wpatrzył się w zdjęcie, a po chwili mi je podał.

Złapałam fotografię drżącą dłonią, po czym przyłożyłam ją do piersi i zamknęłam oczy. Zawsze się zastanawiałam, jak mój brat mógłby teraz wyglądać. Czy był wysoki i silny, jak zakładałam? Nadal miał sięgające łopatek czarne włosy jak dawni gruzińscy wojownicy? Wciąż ten beztroski uśmiech na ustach i spokojną, wycofaną osobowość? Miałam wrażenie, że zdjęcie wypala mi dziurę w ubraniu. Wzięłam głęboki wdech, odsunęłam je od siebie i spojrzałam na dwie widniejące na nim postaci.

Serce napęczniało mi w piersi, kiedy patrzyłam na mężczyznę – na potężnie zbudowanego mężczyznę o opalonej, oliwkowej skórze i czarnych sięgających pleców włosach. Miał jasnozielone oczy, a pod jego lewym okiem widniały trzy dumne pieprzyki. I uśmiechał się. Bardzo szeroko. Ten uśmiech aż opływał miłością. Mój brat – teraz już dorosły i silniejszy – patrzył z nieskalanym uwielbieniem w oczach na jakąś kobietę.

Przebiegłam wzrokiem na drugą stronę zdjęcia, na nią. Moje gardło ponownie się ścisnęło. Kobieta była piękna. Szczupła i urzekająca, a długie blond włosy opadały jej na plecy. Patrzyła na Zaala intensywnie brązowymi oczami i również się uśmiechała.

Poczułam się surrealistycznie. Brat, którego uważałam za zmarłego, żył. Możliwie jak najbardziej żył i kochał. Zrobiło mi się ciepło na sercu.

Przysunęłam zdjęcie bliżej twarzy i dostrzegłam tatuaże na skórze Zaala, a przyjrawszy się dokładniej, zobaczyłam blizny rozsiane na jego wysuwających się spod krótkich rękawków rękach. Musiałam przymknąć powieki, bo zalała mnie żalność. Ile cierpień zadanych przez tego potwora musiał znieść?

Spojrzałam na mojego opiekuna, mrugając szybko oczami.

– Co to za kobieta?

Nie odpowiedział, zamiast tego, splótłszy palce rąk za plecami, zaczął bujać się na piętach.

– Avto?

Opuściwszy głowę, pokręcił nią i powiedział:

– Trudno mi uwierzyć, że to prawda, ale jego narzeczona to...
– urwał i zacisnął zęby.

– Kto? – rzuciłam ostrzej, nie kryjąc zniecierpliwienia.

– Pani Talia Tołstoj – odparł, nie podnosząc oczu.

Byłam pewna, że gdy tylko wymówił to nazwisko, ściany i sufit pokoju zaczęły się wokół mnie walić. Potrząsnęłam głową, pewna, że się przesłyszałam.

– Mógłbyś powtórzyć?

Avto ponownie pokręcił głową zrezygnowany.

– Dobrze usłyszałaś, panienko. Zaal, nasz nowy *lideri*, przywódca, zaręczył się z panią Talią Tołstoj, córką Iwana Tołstoja, jednego z czerwonych królów Braci Wołkowów.

Moje nogi osłabły tak bardzo, że Avto musiał pomóc mi dotrzeć na najbliższą kanapę. Gdy usiadłam, spojrzałam na zdję-

cie świeżym spojrzeniem. Ta kobieta, ta blondynka była córą rodu, który zdradził mojego ojca. Rodu, którego moi bracia, klan Kostawów, z zasady nienawidzili i na którym chcieli się zemścić.

– Avto, nie rozumiem. Jak on może to robić naszej rodzinie? Jak może hańbić nasze nazwisko związkami z tą kobietą?

– Panienko Zoyu, nasze źródła donoszą, że choć nie wiedzą dlaczego, bo nikt nie jest w stanie przeniknąć do ich najwęższego kręgu, to właśnie Brać Wołkowów uratowała twojego brata. Znaleźli go w niewoli Jakhua i jakimś sposobem uwolnili. A on zakochał się w tej młodej Tołstojównie, gdy był pod ich opieką.

Usilnie wpatrywałam się w zdjęcie i wtedy w moim sercu rozgorzała wojna: mój brat żył, lecz zakochał się w naszym największym wrogu. Z trudem pojmowałam tę niesłychaną prawdę.

Avto położył mi rękę na ramieniu, chcąc mnie pocieszyć. Wtuliłam się w jego bok i powoli odprężyłam, ale wtedy starzec dodał:

– *Lideri* Zaal zabił Levana Jakhua dzięki pomocy *kniazia*² Wołkowa, Luki Tołstoja, zabił człowieka, który zmasakrował twoją rodzinę. Jakhua już nam nie zagrażają, panienko. Nie musimy się dłużej ukrywać. Nasi ludzie są wolni, *ty* jesteś wolna.

Wyprostowałam plecy zdumiona słowami Avta i spróbowałam je sobie przyswoić.

– Słyszysz, panienko? Nie musimy się dłużej ukrywać.

– Twierdzisz, że mogę wyjść z tego mieszkania? – wyszeptalam, bo bałam się, że jeśli wypowiem te słowa zbyt głośno, okażą się fałszywe.

– Tak. Dotyczy to też naszych ludzi, panienko. Wszyscy, którzy się ukrywali, porucznicy, ochroniarze... Do wszystkich docierają już te nowiny. Wiś, że nasz *lideri* w osobie twojego brata żyje, rozchodzi się niczym pożar lasu. – Avto uśmiechnął się i w uniesieniu dodał: – Nasz klan może ponownie powstać. Kostava może znów zająć swoje miejsce w Nowym Jorku. Nareszcie!

² *Kniaz* – (ze st. rus.) ozn. królewicz, dziedziczny honorowy tytuł szlachecki dawany w dawnych wiekach w Imperium Rosyjskim i Carskiej Rosji; tutaj w znaczeniu: następca szefa mafii (przyp. red.).

Spuściłam wzrok na zdjęcia Zaala i jego wybranki i ścisnęło mnie w dołku.

– A co, jeśli on nie chce być naszym przywódcą? Co jeśli przejścia, których doświadczył w niewoli, za bardzo zraniły jego duszę? Co jeśli chce po prostu żyć ze swoją kobietą, a nie przewodzić naszym ludziom?

Uśmiech Avta zniknął.

– To Zaal Kostava ze sławnego, szlchetnego rodu swoich ojców. Urodził się, by pełnić tę rolę.

– A jednak powiedziałaś, że spędził życie jako zabójca stworzony przez potwora. – Gdy usłyszał moje słowa, wyraźnie opadła mu szczęka, ale dodałam: – Nie wszyscy wchodzimy w role, do których zostaliśmy stworzeni. Ja ukrywałam się całe życie. Zaal musiał walczyć o życie, odkąd skończył osiem lat. A Anri? Gdzie on jest? Wiem tyle, że nie jesteśmy tymi samymi ludźmi. Jak moglibyśmy być? Zabrali nam i zniszczyli wszystko, co znaliśmy.

Avto ścisnął moją dłoń.

– Nasi ludzie ukrywali się przed Jakhua przez dwadzieścia lat. Niektórzy nieskutecznie i dlatego zginęli w koszmarnych mękach. Teraz tego potrzebują. Potrzebują, abyśmy znów stali się silni. Potrzebują przywódcy w osobie pana Zaala.

Cisza się przeciągała, a ja odtwarzałam sobie w myślach słowa Avto. Miał rację. Nasi ludzie przeżyli w strachu ponad dwie dekady. Radości ich dniom dodawała jedynie myśl, że może moi bracia przetrwali.

– Muszę się z nim zobaczyć – oświadczyłam i aż poczułam napięcie emanujące z ciała mojego opiekuna. – Muszę powiedzieć bratu, że żyje. Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Anri. – Oczy zaszkły mi łzami, pociągnęłam nosem. – Muszę odzyskać rodzinę. Spotkać z moim *sykhaara*.

– Rozumiem, panienko – odpowiedział Avto, po czym wyjął z kieszeni kawałek papieru, podał mi go i kiwnął głową. – Jest tu adres Zaala. I adres Tołstojów. W każdy wtorkowy i czwartko-

wy wieczór brat panienki udaje się do ich siedziby w Brighton Beach w Brooklynie. Wybierzemy jakiś dzień, za niedługo, i cię tam zawieziemy. – Ścisnął moją dłoń, a ja przypomniałam sobie, że dziś jest wtorek. – Nie będzie mógł uwierzyć, że jego siostra, jego krew, żyje.

Przytaknęłam, nachyliłam się do niego i pocałowałam go w policzek.

– Dobry z ciebie człowiek, Avto. A teraz idź, idź i świętuj te nowiny ze swoją rodziną. Jeżeli macie rację, to w końcu jestem bezpieczna i nie potrzebuję opieki. To prawdziwe błogosławieństwo.

Spojrzał na mnie po ojcowsku, po czym wstał.

– Przyjdę jutro wieczorem. Zorganizuję samochód, który zawiezie nas pod mieszkanie, które Zaal dzieli z narzeczoną, w Brooklynie.

Uśmiechnęłam się do niego i kiwnęłam głową, potem wyszedł. Usłyszałam, jak przekręca zamek w drzwiach, i padłam plecami na kanapę.

Gdy Avto i jego najbliżsi znaleźli mnie w dzieciństwie, ja balansowałam na krawędzi śmierci, przywalona trupami rodziny. Ale żyłam. Nasi ludzie się radowali. Klan Kostawów, będący dla Gruzinów czymś na wzór rodziny królewskiej, miał żyjącego spadkobiercę. Tymczasem Anri i Zaal zaginęli. Zaginęli, nie byli martwi. Słumiona nadzieja nagle ożyła.

Ukrywali mnie, niczym przysłowiową księżniczkę w wysokiej wieży, i całe życie traktowali jak boginię, bardziej jak cenny klejnot niż człowieka, zbyt cenny, by mógł wpaść we wrogie ręce. Często zmienialiśmy kryjówki. Zaczęłam się obawiać, że oszaleję w tej duszącej izolacji, ale byłam ostatnim filarem nadziei dynastii Kostawów z Tbilisi.

Aż do teraz.

Zerwałam się na nogi i podbiegłam do wiecznie zaciągniętych ciężkich zasłon. Odsunęłam je nieznacznie i spojrzałam w zim-

ną, ciemną noc, poszukując jakichś oznak życia. Ludzie mknęli ulicami, zajęci swoimi sprawami, ale poza tym nie dostrzegłam żadnego niebezpieczeństwa. Zasłoniłam z powrotem zasłony i zamknęłam oczy.

– Niebezpieczeństwo minęło – wypowiedziałam na głos, przekonując samą siebie, że moje życie nie jest już zagrożone.

Podeszłam do szafy i wyciągnęłam z niej długi czarny płaszcz z kapturem, który założyłam na czarne spodnie i czarną aksamitną bluzkę. Zarzuciłam włosy do tyłu i ściskając w dłoni kartkę z adresem, ruszyłam do drzwi. Musiałam to zrobić, sama. Czekałam na te nowiny dwadzieścia lat i nie mogłam czekać na spotkanie z bratem ani sekundy dłużej.

Rzadko wychodziłam z mieszkania, jednak znałam ten teren jak własną kieszeń. Przed laty Avto, gdy sprowadził mnie do Nowego Jorku, zadbał, bym zapamiętała dokładny rozkład ulic i stacji metra. Przygotował mnie na ewentualność samotnej ucieczki. Wyszkolił mnie do wtapienia się w otoczenie.

Otworzyłam drzwi, by wyjść na ulice Manhattanu. Sypiący śnieg pobielał asfalt. Naciągnęłam kaptur na głowę, zeszałam po schodkach budynku i natychmiast stałam się jednym z wielu przechodniów. Spuściwszy głowę, dotarłam do stacji metra i zeszałam na zatłoczony peron. Usiadłam na wolnym miejscu i pozwoliłam sobie na wyjęcie zdjęcia, żeby jeszcze raz spojrzeć na szczęśliwą parę.

Długa podróż do Brighton Beach minęła znacznie szybciej, niż sądziłam. Myślałam o bracie, którego uważałam do niedawna za utraconego, ale też wyczekiwałam chwili ponownego spotkania z nim.

Wagon się zatrzymał, więc czym prędzej wyskoczyłam na peron. Nigdy nie byłam w Brighton Beach i gdy wyszłam na ulicę, aż zachłysnęłam się powietrzem. Poczułam się jak w innym świecie. Otaczały mnie rozwalające się, bure pustostany. Ulice były ciemne i zapuszczone. Zimny wicher hulał pośród zabitych

dechami ruder, ledwo stojących knajp i sklepików. Okolica nie mogła się równać z pięknym, zamożnym Manhattanem. Ignorując lodowaty ziąb, który przeszywał mnie do szpiku kości, siłą woli ruszyłam przed siebie. Śnieg skrzypiał pod podeszwami moich butów. Trzymałam się cienia nieoświetlonych ulic, zjednoczyłam się z nocą.

W końcu znalazłam szereg kamienic zbudowanych z piaskowca. Środkowy budynek górował dumnie nad sąsiednimi ruinami. Stan jego utrzymania wskazywał, że właścicielom nie brakuje pieniędzy.

Moje serce przyśpieszyło.

Dom Tołstojów. Miał wysokie, szerokie okna. Na pierwszy rzut oka było widać, że mieszkają w nim ludzie wybijający się na tle reszty.

Nagle zamarłam, bo w jednym z okien przemknął cień. Zmrużyłam oczy, by przyjrzeć mu się przez spadające z nieba płatki śniegu. Zobaczyłam wysokiego mężczyznę o szerokich barkach, który trzymał kobietę o długich brązowych włosach. Wstrzymałam oddech, bo pomiędzy nimi pojawiła się blondynka. Trzymała się pod boki i wesoło żartowała z brunetką.

Talia Tołstoj.

Patrzyłam na narzeczoną brata, poszukując zagubionego gdzieś oddechu. Ale wtedy w ogóle przestałam oddychać, bo blondynkę objęły od tyłu dwie potężne, wytatuowane ręce o oliwkowej skórze. Wiedziałam, że mam przed sobą Zaala.

Modliłam się, by zbliżył się do okna, ale nie dostrzegłam jego twarzy.

Musiałam go zobaczyć.

Naciągnęłam na głowę kaptur, po czym oplotłam się rękoma w tali i biorąc głęboki oddech, weszłam na oświetloną, cichą ulicę.

Najwyższy czas, by dowiedział się, że tu jestem.

Że jego ród przetrwał.